

Niezdrowa żywność, podatki i rozwiązanie rynkowe

Autor: Sascha Baghestanian

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: Marcin Pasikowski

Wersja PDF

Podczas niedawnej debaty na temat reform w systemie opieki zdrowotnej w Stanach Zjednoczonych znowu popularne stały się propozycje wprowadzenia [podatku Pigou](#), mającego przeciwdziałać tzw. „kosztom społecznym” zakupów dokonywanych przez niektórych obywateli. W „The Economist” pojawił się artykuł opisujący całą serię opracowań popierających wprowadzenie podatku od niezdrowej żywności.

Argumentacja autorów tych propozycji jest prosta: konsumenci niezdrowej żywności zapadają na poważniejsze schorzenia niż konsumenci warzyw. Według „The Economist”, roczny koszt opieki medycznej osoby otyłej jest o 700 dolarów wyższy niż osoby szczupłej. Jednakże osoby otyłe nie ponoszą w całości tych dodatkowych kosztów.

Autorzy tych opracowań sugerują, że opodatkowanie niezdrowej żywności przeniesie ciężar dodatkowych kosztów na ludzi, których nawyki żywieniowe są powodem finansowego obciążenia publicznej opieki zdrowotnej. Jak twierdzą ekonomiści proponujący ten podatek, zneutralizowałby on koszty zewnętrzne narzucone przez osoby otyłe na resztę społeczeństwa, zapewnił więcej pieniędzy dla systemu opieki zdrowotnej, a nawet zachęcił konsumentów do prowadzenia zdrowszego trybu życia.

Podczas gdy „The Economist” wyraża się sceptycznie o podatku Pigou, artykuł pomija najważniejsze w tej kwestii pytanie: dlaczego na całym świecie wciąż spożywane są produkty o poważnych skutkach ubocznych?

Wszyscy wiemy, że brokuły i marchewki są zdrowsze od cheeseburgerów i pizzy. Złe nawyki są zjawiskiem naturalnym, każdy z nas jakieś posiada. Pytanie jednak brzmi: dlaczego niektóre nawyki, które wpływają negatywnie na nasze zdrowie są tak popularne? Dlaczego znaczna część populacji świata generuje popyt na niezdrową żywność?

Przeglądając typowe menu w restauracjach typu fast food, zobaczymy jedną cechę wspólną: podawane tam posiłki w większości są mięsne. Mięso zawsze było dobrem luksusowym, ale ogromne korporacje fast food, z wydajną

produkcją i łańcuchem dostaw umożliwiły każdej amerykańskiej rodzinie kupno mięsa o dowolnej porze i to raptem za kilka dolarów.

Ponadto, sieci fast foodów przygotowują posiłki tak, by klienci pozostali wierni danej marce, czego nieuniknioną konsekwencją jest podawanie tłustych posiłków z sosami, które w istocie są płynnym cukrem z dodatkami polepszającymi smak. W połączeniu z ciągle spadającymi cenami i stabilnym poziomem dochodów konsumentów, takie menu zmieniło w ciągu ostatniej dekady średni rozmiar spodni w USA z M na XL.

Wyjaśnienie powodu, dla którego ludzie tak kochają fast foody, wydaje się więc proste: podawane tam posiłki zawierają dużo mięsa, są smacznie przyrządzane oraz coraz tańsze. Dlaczego jednak korzystanie z dobra, które jest potencjalnie szkodliwe ciągle tanieje? Czy rynek nie powinien dostosować cen do niebezpieczeństwa w taki sposób, aby ludzie, którzy chcą podjąć potencjalne ryzyko w imię przyjemności płacili wyższe składki ubezpieczeniowe?

W tym momencie do gry wkracza publiczny system opieki zdrowotnej. Rząd zniekształcając rynek ubezpieczeń zdrowotnych, uwalnia ubezpieczonych od odpowiedzialności.

Dla ludzi z nadwagą (oraz palaczy) normalna składka na ubezpieczenie zdrowotne z pewnością jest poniżej ceny wolnorynkowej, czego najbardziej oczywistym dowodem jest deficyt publicznych usług medycznych — na który przecież nastawiona na osiągnięcie zysku firma ubezpieczeniowa nie mogłaby sobie pozwolić bez groźby zostania wypartą przez konkurentów z rynku. Na wolnym rynku ubezpieczeń zdrowotnych ludzie otyli musieliby płacić wyższe składki niż teraz.

Na potrzeby tego wywodu założmy, że palacze musieliby zapłacić za ubezpieczenie zdrowotne dwa razy więcej na wolnym rynku niż teraz. Czyż nie byłaby to wystarczająca zachęta do zmiany stylu życia? Z drugiej strony, czyż *człowiek nie ma prawa do robienia tego, co mu się podoba, jeśli go na to stać i jeśli nie szkodzi innym?* W ramach wolnorynkowego systemu ubezpieczeń nie musielibyśmy się martwić o ludzi otyłych z wyboru.

W rzeczywistości jednak rynki ubezpieczeniowe nie są wolne od interwencji rządowej, a przez to składki dla otyłych osób są zbyt niskie. Tworzy się w ten sposób niezdrowa struktura motywacji. Jeśli wiadomym jest z góry, że publiczna służba zdrowia będzie leczyć ludzi z problemami wynikającymi z notorycznego spożywania niezdrowej żywności, ludzie nie mają żadnej zachęty do zmiany swych nawyków.



Jeśli martwi nas otyłość wśród społeczeństwa powinniśmy rozmawiać o całym systemie opieki zdrowotnej oraz o tym, jak go zliberalizować, by każdy stał się odpowiedzialny za swe czyny. Zamiast tego rządy rozważają kolejną regulację, bo tym właśnie jest dodatkowy podatek. Niestety dwie złe regulacje nie stworzą jednej dobrej. Mimo to działania rządu wydają się moralnie uzasadnione. W końcu kieruje się on troską o zdrowie obywateli, prawda?

Intencje i konsekwencje

Przypuśćmy, że władze traktują tę troskę poważnie, a ich celem jest rozpowszechnienie nawyku zdrowego żywienia i polepszenie standardów życia obywateli USA. Przypuśćmy także, że rządowe założenia o skuteczności tego podatku są słuszne i spowodują zmniejszenie sprzedaży hamburgerów i pizzy.

Kto byłby najbardziej pokrzywdzony wprowadzeniem tego podatku? Z pewnością nie potencjalni klienci fast foodów, ponieważ według tego scenariusza, cieszyliby się lepszym zdrowiem i ta korzyść wynagrodziłaby im droższe rachunki w restauracjach.

Jakie są konsekwencje spadku popytu? Z pewnością sieci fast foodów musiałyby dostosować zakupy do nowych potrzeb. W przemyśle spożywczym, w którym 70% całkowitych kosztów generuje siła robocza, nie ma wątpliwości, kto by na tym ucierpiał: ludzie stojący za ladą, zadający kilkaset razy dziennie pytanie: „Na miejscu czy na wynos?”.

Jak wskazywałem wcześniej, nadmiar regulacji utrzymuje popyt na niezdrową żywność na wysokim poziomie i przez to alokacja siły roboczej przesuwana się w kierunku tego sektora. Rynek zareagowałby na kolejny stan nierównowagi spowodowany nową regulacją (podatkiem) przeniesieniem miejsc pracy do innych sektorów. Efektem byłoby znaczne bezrobocie i spadek popytu. Ponieważ sieci fast foodów należą do największych odbiorców produktów rolniczych, regulacja dotknęłaby ten sektor w niemal takim samym stopniu.

Ktoś mógłby powiedzieć, że konsekwencje te byłyby tymczasowe i oddziaływałyby tylko do momentu, w którym przedsiębiorcy produkujący i sprzedający żywność dostosowali się do nowych warunków, pracownicy znaleźliby nowe posady, a konsumenci zmienili swe nawyki. Niemniej cały ten łańcuch wydarzeń wydaje się niesprawiedliwy, przecież największe koszty ponieśliby ludzie, którzy nie zrobili nic złego. Pracownicy, podejmując prace w rozwijającym się przemyśle, działali całkowicie racjonalnie. Właściciele fast foodów nie do końca zdając sobie sprawę, że popyt na ich produkt wynika z jego nierynkowo niskiej ceny zachowali się jak racjonalni przedsiębiorcy i wypełnili podażową lukę. *Tego właśnie oczekujemy od przedsiębiorców!* Szukania okazji, maksymalizowania zysków i tym samym tworzenia miejsc pracy i bogactwa.

Może więc to konsumenci są winni obecnego stanu rzeczy? Nie, to nie oni ponoszą winę. Rząd dał im złudzenie, że skutki uboczne ich działań nie pociągną za sobą kosztów. To nie oni ponoszą winę za tę sytuację. To nadmiar

regulacji wprowadzonych przez rząd spowodował ten bałagan i tu należy szukać winnych.

W zasadzie każdą prosperującą gałąź gospodarki może spotkać to samo w wyniku arbitralnych regulacji rządowych. Weźmy jako przykład rynek telefonów komórkowych. Niektóre badania sugerują związek pomiędzy intensywnym używaniem telefonu komórkowego a występowaniem nowotworu mózgu. Czy więc także w tym przypadku powinniśmy zastosować podatek Pigou, jako że problemy zdrowotne użytkowników tych urządzeń mogą wygenerować koszty nieuwzględnione w pełni w wysokości ich składki ubezpieczeniowej?

Moim zdaniem tylko prywatny ubezpieczyciel może ustalić cenę adekwatną do ryzyka. W przypadku całkowitej liberalizacji rynku ubezpieczeń i służby zdrowia, firmy nastawione na zysk wyceniłyby składki w ten sposób, że złe nawyki stałyby się mniej opłacalne. Klienci zauważyliby potencjalne ryzyko spożywania niektórych produktów. Jeśli ryzyko to jest rzeczywiście tak wysokie, jak się powszechnie uważa, znalazłoby to swoje odbicie w cenie rynkowej.

Wnioski

Pomimo tego, że zachowanie ludzkie jest skomplikowane i wiele złych nawyków ma głębsze podłoże psychologiczne, szkodliwe nawyki pojawiające się na dużą skalę powinny być analizowane z perspektywy strukturalnej. Są one bowiem symptomem ukrytych problemów, zakorzenionych w publicznej opiece zdrowotnej, która wcale nie zwalnia ludzi z troski o swoje zdrowie, lecz pozbawia ich tylko odpowiedzialności za samych siebie.

Jeśli naszym zamiarem jest zmniejszenie konsumpcji niezdrowej żywności, jedyną polityką, która byłaby skuteczna w długim okresie, jest pełna liberalizacja rynku opieki zdrowotnej. Rozwiązałoby to problem chronicznego niedofinansowania służby zdrowia oraz uświadomiłoby nam, że nasze zdrowie jest cennym dobrem.

To wszystko nie oznacza jednak, że ludzie przestaliby jeść w fast foodach i palić papierosy. Robiliby to jednak tylko ci, których byłoby wciąż na to stać. Prywatny system ubezpieczeń spowodowałby, że styl życia mojego sąsiada nie miałby na mnie żadnego wpływu, więc jego nawyki żywieniowe nie byłyby moją sprawą. Ludzie mogliby i powinni móc żyć tak, jak sobie tego życzą, o ile nie szkodzą tym innym.